

Bziki patryjotyczne.

Bziki patryjotyczne rodzą się w sercu i omijając mózg, odrazu, przez gębę, wypadają na świat między ludzi.

Robią wiele hałasu, mało szkody, pożytku żadnego, a ściśnięte mocno w garści, zostawiają tylko trochę wilgoci pomiędzy palcami.

Sprawiają zawrót głowy, kręcenie w nosie, łechtanie pod nosem i swędzenie na plecach w tem miejscu, do którego rękami dostać nie można.

Z bzików rodzą się czasem czupiradła patryjotyczne, które tem się różnią od zwykłych czupiradeł społecznych, że z tych ostatnich wszyscy się śmieją, a czupiradłom patryjotycznym klaszczą.

Wszyscy wiedzą, czego potrzebuje nasz chłop, o co się dla niego trzeba starać, co z nim robić, co mu dawać do gęby, co do serca, co kłaść w głowę... Aż oto w Monasterzyskach strzelił komus do głowy bzik patryjotyczny i zrodził z kilku chłopów i dziewczek czupiradło patryjotyczne, z którym ma przybyć do Lwowa i zagrać nam *Lobzowianów*.

Miły Boże! cóż to za raj na tej ziemi polskiej, że już niema nic do roboty, tylko dla rozrywki duchowej urządzają sobie komedje chłopskie, a Maćków, Bartków i Wojtków, zamiast uczyć gramatyki, płodozmianu, zamiast im pokazywać na źródła przemysłu tkwiącego w rolnictwie, zamiast im kłaść w uszy zkąd się wzięli i gdzie się podzieją, jeśli serc nie uszlachetnią, a rozumu nie nabiorą do głowy — to bziki patryjotyczne zakładają dla chłopów akademje aktorskie po Monasterzyskach, Mościskach i Kopyczyńcach!... Oj rozrywają też, rozrywają tych Bartków i Maćków, a socjalizm rżnie swoją sztukę aż trzeszezy po kościach chamskich i kołtuńskich.

Albo te nasze pielgrzymki dzieci na Wystawę!...

Któżby co miał przeciwko temu!... Niech przyjeżdżają, niech przychodzą piechotą — niech patrzą, niech słuchają, niech na miękkim i młodocianym umyśle i sercu ryją się szlachetne i podniosłe wrażenia, które im może kiedyś będą pomocą na ciężkie koleje dalszego życia — ale po co te napuszone mowy do tych dzieciaków?... Po co wyuczać, jak papugę jakiego Jasia, albo Stasia, aby odpowiadał jeden drugiemu, lub swiergołił na dworcach kolejowych mowy, jak szpaczek?...

A dajcież dzieciakom pokój z tą polityką, a nie karmcież jej zawczasu frazesami! I tak później nałykają się ich dosyć, aż się odmą... Pozwólcie im swobodnie rzucić się na szyć, wycalować się, wyscisnąć, wyskakać!... Powiedzieć im: „Patrzenie dzieci — to nasza praca! jak wy urosiecie, to pokażecie jeszcze lepsze rzeczy!... A na to potrzeba być dobrymi i uczciwymi ludźmi, a kto kocha ojczyznę swoją i pracuje dla niej, jak może i gdzie może, ten już jest dobrym człowiekiem... A teraz cieszcie się, skaczcie, śpiewajcie, tańczcie, oglądajcie! Czego nie rozumiecie — odczućcie, a czego

odczuć nie możecie, to potem zrozumiecie, jak wam szkoła w głowach rozjaśni!...”

Po co z dzieciakami te ministerjalne, urzędowe przyjęcia? po co robicie z nich komedjantów — kiedy prostą drogą, prostymi środkami, nakazuje prawdziwa pedagogja kształcić umysł i serce dzieciaka!

Bziki patryjotyczne — zapewne, że mają podkład z dobrej woli i ze szczerości intencji — niemniej, jednak, rodzą się z nich czupiradła patryjotyczne, które interesom społeczeństwa tem większą szkodę przynoszą, że obniżają powagę i świętość szerokich, etycznych zasad i zagradzają drogę pożytecznej pracy zdrowemu patryjotyzmowi.

Wesoły.

Agronomiczne,

i tak źle, i tak niedobrze

Orz, bronuj i siej bracie od świtu do zmroku,
Pewnie cię djabli wezmą —
Zwłaszcza w suchym roku.

*

Uprawiaj, zbieraj, pracuj najgorliwiej w świecie,
Jak ruda mysz przepadniesz —
Zwłaszcza w mokrym lecie.

*

Besztań, klnij, wyzywaj, wrzeszcz: niechaj prze-
[padną!]

A pewnie w tym rygorze —
Słudzy cię okradną.

*

Głaszcz, przemawiaj po ludzku, a nie tak jak
[drudzy,

Pewnie w tej łagodności —
Okradną cię słudzy.

*

Daj chłopu las, niech byłoby pasie do jesieni,
A pewno twoją łakę —
W swe pastwisko zmieni.

*

Źle siać późno, źle weześnie, — źle na pniu
[sprzedawać...]

Ale zawsze i wszędzie:
Dawać! dawać! dawać!

Ledwodywszy.

Musisz umrzeć!

HUMORESKA
przez Xanrofa.

Znałem pewną starą damę, która miała profil karpia, ubierała się we wstążki, jak panienka i nosiła niebieskie okulary.

Mieszkała w małym pokoiku, którego za nic na świecie nie chciała opuścić z powodu, iż zdechła w nim papuga niezmiernie utalentowana. Owa papuga władała dwoma językami: francuskim i swą mową ojczystą.

Leż dalszy jej pobyt w ulubionym mieszkanku stał się niemożliwym. Na tych samych schodach mieściło się atelier malarskie i od czasu, jak osiedlił się w niem artysta, stara dama o profilu karpia, nosząca niebieskie okulary, była narażona na najnieprzyjemniejsze nieśpodzianki.

Pewnego dnia np. zabrzmiał dzwonek. Stara dama podreptała do drzwi i ujrzała naprzeciwko siebie szkielet ludzki, używany do studjów anatomicznych. — Szkielet ubrany był w hiszpańską mantylkę, trzymał się ręką pod bok, w ze-

bach miał zapalonego papierosa i z szyderezą miną przyglądał się starej damie. Czasami znów nadechodziły listy, zawiadamiające damę o wygranej na loterii, lub wielkim spadku.

W takich warunkach stara pani dowiedziała się z nieklamanem zadowoleniem, iż okropnego sąsiada poproszono wynieść się, ponieważ zapominał w pięciu terminach zapłacić czynszu.

Dama zanuciła wesołą piosenkę, wtem nagle zaniepokoiła ją mocno myśl, iż obrzydliwą pracownię wynajmą z pewnością innemu malarzowi, który uczyni jej życie nieznośnem. Od tej chwili dama była w ustawicznym strachu, dopóki nie dowiedziała się, iż pracownia znów została wynajęta.

Przez drzwi na pół otworzone ze swego pokoju przypatrywała się przeprowadzce nowego lokatora. lecz pomiędzy jego rzeczami nie mogła dostrzedz obrazów, ani sprzętu, choć trochę przypominającego stalugę. Wyprowadziła ztąd wniosek, iż nowy lokator nie jest malarzem i była tak uszczęśliwiona tem odkryciem, że próbowała zatańczyć gavota, przyczem stłukła swe niebieskie okulary, a następnie kaszlała pół godziny. Jej radość wszakże nie trwała długo. Nowy lokator bezwątpienia nie był malarzem, ale mógł być rzeźbiarzem. I stara pani, zdjeta nowym strachem, pospieszyła do odzwiernej, by zasięgnąć języka.

Przed dźwiami odzwiernej stał właśnie nowy lokator; był to młody człowiek, zbudowany mocno, jak lokomotywa, czarny, jak cygaro. Głos miał gromki, który wpadł w modulację, gdy wszczęła się rozmowa o salacie. Ale, przedewszystkiem, miał twarz, na której malowała się dzika i niepohamowana energja, włosy długie i poplątane, jak intryga Sardou, oczy świejące, jak dwa kandelabry i szczęki stworzone, jakby do kłaniania. Cała ta głowa przypominała potrochu Marata i Nerona.

Stara dama cofnęła się ze strachu, do pokoju odzwiernej wejść nie odważyła się i umykała do swego pokoiku, jak mysz, przeczuwająca zbliżanie się kota.

Następnego dnia po nocy, w której śniła o kradzieżach i morderstwach, pospieszyła znów do odzwiernej, żeby się wreszcie dowiedzieć, kto jest ów nowy sąsiad o strasznym obliczu, ale odzwierna była głucha, jak latarnia i stara dama z całej rozmowy mogła wynieść tylko to przeświadczenie, iż nowy lokator jest artystą.

Artystą był, naturalnie, dla niej tylko malarz, lub rzeźbiarz.

W rzeczywistości, jednak, młody człowiek był tragikiem. Zamieszkał w atelier, ponieważ przy studjowaniu ról potrzebował tyle miejsca, że uszkodził ściany zwykłego pokoju. Nie mógł wymówić słowa: „Biada!“, jeżeli nie przeszedł się pięciu metrów, a gdy wołał: „Potępienie wam!“ — przebiegał całą ulicę.

By nastroić się odpowiednio do ról, kazał całą pracownię wybić czarną materją w srebrne gwiazdy. Czaszki i skrzyżowane piszczele zdobiły z obu rogów